№ 21. Kraków 20 Sierpnia — Wtorek. Rok 1850.

Wychodzi w Krakowie trzy razy na miesiąc, tj. 10go 20 i 30go każdego miesiąca jako dodatek do Czasu.

DODATEK LITERACKI DO CZASU.

Pojedyńczy arkusz Dodatku kosztuje grp. 15. Prenumeratorowie Czasu otrzymują go bezpłatnie.

Kazanie X. Antoniewicza na gruzach kościoła ś. Trójcy. — Wieczory badeńskie. — Widzenie (poezya). — Listy o Krakowie przez Pęcławskiego (krytyka literacka). — Wiadomości bibliograficzne i artystyczne.

KAZANIE X. ANTONIEWICZA
na gruzach kościoła ś. Trójcy.

Po dniach smutku i zwątpienia, trwogi i rozpaczy, promień ożywczéj nadziei rozjaśnił posępną głębię dusz. Gorąca modlitwa i szczytne słowa boże dokonały tego cudu. Na dniu 12 sierpnia odprawiło się uroczyste nabożeństwo przed drewnianą figurą Chrystusa ukrzyżowanego, którą płomień oszczędził, kiedy kosztowne bronzy i marmury stopił i pokruszył. Było to coś nadzwyczaj rozrzewniającego: na zewnętrznéj ścianie spalonego kościoła wyobrażenie męki pańskiéj, u stóp ziemia zasłana gruzem, dokoła, gdzie okiem zajrzeć zniszczenie i pustka — a pośrodku ni to gałązka zielonéj nadziei, ni to myśl wskrzesicieka: ołtarz i ofiara., Zdawało się, że każdy kamień przemawiał, że go myśl jakaś dźwigała. Dla dopełnienia symbolicznéj chwili, właśnie na murach kościoła zakładano ankry; budowano z modlitwą. Ani wątpić, że z wezwaniem pomocy boskiéj rozpoczęte dzieło wskrzeszenia powinno się udać; czemże stanęły średniowieczne ogromy katedr jeśli nie pobożnością i ofiarą? Tłumy wiernych ściągały się zewsząd i przy odgłosie pieśni pobożnych, z granitów rosły ściany, wystrzeliwały kolumny i wiązały się łucaste sklepienia. Jak do tego tak do każdego dzieła przystępując z myślą szczeréj ofiary, z gorącością, z czystością ducha, osiągniem zbawienny skutek. Trudności materyalnych środków ustąpią każdą razą przed myślą głębokiéj wiary, co góry zrównywa, a doliny wypełnia. — Po nabożeństwie, X. Antoniewicz, kaznodzieja pełen słodkiéj, poruszającéj wymowy, wystąpiwszy na stos rumowiska, wyrzekł te wzniosłe a do chwili obecnéj tak stosowne wyrazy, które tu podajemy:

„Jakiż to widok bolesny i smutny przedstawia się oczom naszym? Ściany okopciałe, walące się mury, gruzy, proch i popiół! Przez otwory wypalonych okien wyziera zgroza, spustoszenie i śmierć, jakby mówiąc: patrzcie, co to są dzieła ludzkie — pod ręką gniewu bożego — padłaż jedna iskra — gniew boży ją rozdmuchał i w mgnieniu płomieni stopiły się kruszcze i kamienie — a każdy przechodzący potrząsa głową — palcem wytyka, i milcząc patrzy i patrzy — że ledwie oka łzami niewypatrzy! a jeśli ma wiarę, zawoła o Boże jakże wielkim jesteś w miłosierdziu twojém, ale jak strasznym w sprawiedliwości swojéj! — Wejdźmy, wejdźmy — w środek téj świątyni! — O nie — niewchodźmy! po cóż? tam głucho — tam straszno, tam pusto, tam grób, a stróżami tego grobu, to te cztery kaplice, których płomień nieśmiał tknąć — to te posągi, które zakamieniałém okiem i sercem, zdają się przemawiać i pytać: cóż to się w około nas stało! A to grobowe milczenie przerywa tylko ta cegiełka, oderwana pada od sklepienia — jak łoskot łzy kamiennéj! Jak widmo grobowe stoi ta wieża przed nami! Ale wieżo gdzież dzwony twoje? Dwony moje milczą! długo dzwoniły jęcząc groźbą i prośbą, do ludu całego, aby się nawrócił, bo gniew Boży nad głowami naszemi, nad miastem naszém; ale naprożno! nikt jęku ich nieusłuchał, nikt jęku ich nierozumiał. — A te dzwony stopiły się w upale ognia, jak dusze wasze w upale cierpienia — pękło ich serce, jak serce narodu! Ściany świątyni — gdzież ołtarz, gdzie ofiara? O ileż razy ten ołtarz, ta ofiara, zelżona była! a dziś ołtarz, to garść popiołu — ofiara, to łza! O niedawno — niedawno tem dzwoniły te dzwony po raz ostani — tak wdzięcznie i silnie, jakby całą Polskę tu zwołać chciały — może niejednemu dzwoni jeszcze w sercu echo tego dźwięku. Po raz ostatni huczały te organy na chwałę bożą, i może jeszcze nieprzeschła ta łza, którą wywołały z duszy. Po raz ostatni.... o nie — ktoż się odważy to wyrzec! Czyż ten Bóg, który świat z niczego wyprowadził, niepodoła wznieść obaloną świątynię swoję? Sześć wieków pracowało nad tém dziełem — sześć godzin zburzyło je! Pamiątka tylko została, ale w téj pamiątce to zaród nadziei naprzyszłość. Skąd ta nadzieja? skąd? Patrzcie oto na téj przepalonéj ścianie świeci krzyż — wszystko runęło, krzyż nierunął — wszystko ogniem spłonęło, krzyż niespłonął. A nad tym krzyżem zdają się błyszczeć one słowa na sztandarze legionu piorunującego: *In hoc signo vinces!* W tym znaku zwyciężysz! — bo gdzie krzyż stoi, tam stoi nadzieja — gdzie krzyż tam zwycięstwo! Myśmy krzyż Chrystusa nogami zdeptali i padł na nas i zgruchotał nas siłą swoją — padnijmy my pod krzyż, a on nas wydźwignie! Gdy lud Izraela po długiéj i ciężkiéj wrócił do ojczyzny niewoli patrząc na zburzony po pierwszy raz kościół, starce gorzkiemi płakali łzami i przypominali sobie dawną świetność i blask jego. Tak dziś ludu krakowski patrzyż na te gruzy i przypominasz sobie dawną piękność tego domu bożego. I matka córce i ojciec synowi w najpóźniejsze pokolenia opowiadać to będzie! Chodząc po tych pozostałych wygorzałych, staniesz i westchniesz: Ach tu — tu stał ten ołtarz, przed którym klęcząc wzdychałam do Boga, a westchnienia moje wysłuchane zostały — tu był ten obraz Bogarodzicy, przed którym tylem łez przelała, a ona łzy moje otarła — tu stał ten konfessionał, u którego pojednałem się z Bogiem. O ileż to przez sześć wieków tu i łez spłynęło, i ofiar świętych się odprawiło — ileż tu modlitw ojców i matek waszych słyszały te mury, a dziś wszystko pusto i cicho! Zagasła lampa przed Najświętszym Sakramentem, bo zagasła lampa wiary w sercach naszych — o zapalmy ją na nowo a Bóg zapali lampę swoję! Wiara polska wybudowała ten kościół, wiara polska odbudować go potrafi! Jeszcze ogień tleje w popiele, jeszcze gruzy niewywiezione, a już ochoczo biorą się do pracy ręce! Nie, nie ręce, ale serca — bo kościoły to nie ręce ale serca budują! Kiedy nie raz cały naród jęczał w boleści i tu przychodził szukać pociechy — to ten kościół jakby ręką matki krwawe łzy ocierał, a dzisiaj to ta matka płacze i czeka aby ręka narodu otarła łzy jéj! Ręka narodu, ale nie pojedynczych osób tylko — ofiarami całego narodu niechaj powstanie ten dom boży, jako ofiara błagalna całego narodu Bogu uczyniona, niechaj będzie pomnikiem, że wiara w polskich jeszcze sercach niewygasła sercach! O nie żałuj i twoją dać cegiełkę do gmachu tego, stanie się ona kamieniem węgielnym domu twego — niezałuj choć jednego grosza, bo to będzie grosz wdowi z błogosławieństwem bożém! Sercem i groszem, ręką i modlitwą zacznijmy ten kościół budować, ale zarazem weźmy się szczerze do odbudowania kościoła wewnętrznego w duszy naszéj, bo i ten kościół ogień namiętności wypalił, bo tam tylko popioły i gruzy. Miłość niechaj będzie architektem tych kościołów — wiara kamieniem węgielnym. Wkrótce zabłyśnie krzyż na wieżach tego domu i na sercach naszych nadzieją zmartwychwstania na czas i na wieczność."

WIECZORY BADEŃSKIE.

Wyobrażenie o pewnych ludziach, ich talentach i charakterach tworzy się w powszechności najzwykléj z jednego czynu rozgłośnego, z jednego rysu charakteru, z jednéj wybitniejszéj strony talentu. — Wszystkie inne czyny, rysy, strony, które musiały składać się na tę górującą indywidualność, jak drobne nici na utworzenie pięknéj tkanki, uchodzą niepostrzeżone, dopóki ściślejsze jakie badanie, a często, interes później dopiero do pewnych czynów lub pojawów talentu obudzony, niewygrzebie z cieniów zapomnienia, resztek téj zbroi, mającéj od stóp do głów wystawić rycerza myśli lub czynu. — Niedawno dałem był na Węgierskim przykład, odkrywając w nim taką stronę, o jakiéj powszechność wiedziała mało, lub wcale nic. Teraz przychodzi mi, lubo mniéj niespodziewane, odsłonić bogactwo twórczego talentu Józefa Maksymiliana Ossolińskiego. Uczony ten mąż znany wszystkim, jako gorliwy i do ojczyzny przywiązany obywatel, który ją świetnym zakładem uposażył, uczeńszym, jako pisarz dzieł głębokiéj erudycyi, a zatém mniéj przystępnych ogółowi czytających, pojawia się jeszcze w nowym kształcie lekszego pisarza, prawie poety. Ktokolwiek uwierzył zdaniu p. Michała Wiśniewskiego nazywającego styl autora *Wiadomości historyczno-krytycznych* stylem *ołowianym*, kto sam niepoznał całéj jędrności i mocy wyrażeń, kto nienamacał rzeźby tego stylu, kto blasku farb niemogących nigdy zblaknąć niedopatrzył, komu ten język brzmi w uszach za szorstko, ten może może mieć wyobrażenie o wszystkich stylach na świecie, ale o polskim, szczerym, prostym, dobitnym, zwięzłym, dźwięcznym jak rozgłos miedzianéj tarczy — nawet pojęcia mieć niebędzie. Ktokolwiek znał prace Ossolińskiego, w których usiłował i powiedzieć wszystko co było podobna dowiedzieć się, i wykryć wszystko co bez zuchwałych hipotez wykryć się dało, ten musi się zdziwić, jakim sposobem umysł jego zaprzątniony ogromem tylu różnorodnych wiadomości, puszczony na drogi tak mozolnych docieckań, znalazł jeszcze swobodne chwile do fantastycznych malowideł, do poetycznéj rozrywki, która go uniosła w świat Bokacego, Perolta, a może i Hofmański, tylko że w sposób ujemny. Mówię tu o tych *Wieczorach badeńskich*, znanych z wyimków po niektórych pismach czasowych, a przechowujących się w rękopiśmie. Czytając ten utwor, niemożna niezdziwić się dla czego dotąd niezostał ogłoszony? Niepojmuję jakie skrupuły i względy mogłyby wiązać w ogłoszeniu go. Czy dlatego że autor żartuje ze strachów z całą rubasznością staropolską, z niedowierzaniem człowieka czerstwéj wiary, co takie zdanie objawia: „Boga się wasć bój i kochaj, a kiedy żyjesz poczciwie jak on przykazał, możesz niedbać na djabła." — Chyba tylko romantyzm wprowadzający do literatury duchy, upiory, czarownice, wiedźmy, chyba ów świat Jasnowidzącéj z Prewörst, i wszystkie z wyobrażeń gminu czerpane demonologie, zastąpiły strachom Ossolińskiego i krzycząc a ziejąc ogniem na nie niedopuściły wstępu. Inaczéj trudno sobie wytłumaczyć, dla czego książka najbardziéj polska, rodzimym dowcipem i humorem na wskroś przesiąkła, którą tylko obok Paska pamiętników stawić można, dotąd niekrąży w rękach czytelników. Zwykły to los rzeczy niezwyczajnych, że się najpóźniéj na nich poznają; a tymczasem powieść nasza i romans najwięcéj ucierpiały na tém; bo gdyby ten i ów na strachach Ossolińskiego robił był studia, mniéj mielibyśmy fałszywych charakterów w naszych historycznych romansach, mniéj sentymentalnych bredni; umianoby schwycić ton opowieści, który jest jakby melodyą narodową, umianoby rysować nie mdłe i wylizane miniaturki, ale jakieś silne sice, tak prawdy pełne, żeby się i bez barw obeszły. Ossoliński bowiem jedynym jest z pisarzy 18 wieku, który dykcyę, wyrażenia się,

dowcipy, zgoła humor naszych przodków, tak niepodobny do dzisiejszego humoru pożyczonego od Anglików lub Niemców, umiał odbić w swoim utworze; przez co wyłącznie stał się oryginalnym, tak dalece, że gdyby mię zagadł dziś jaki cudzoziemiec o utwór literacki, któryby skupiał w sobie najwybitniéj rysy i barwy domowego życia dawniejszéj Polski, język, dowcipy rubaszne, koncepta — nieumiałbym nic innego wskazać prócz *Wieczorów badeńskich.* Zapewne Pamiętniki *Pana Saplicy* osnowane na rozleglejszéj historycznéj podstawie, na pewnych ideach, wystawiające życie narodu publiczne, w chwilach wielkich ofiar i walk, stanowią obraz wznioślejszy, poetyczniejszy może; ale z taką oryginalnością jakiéj Ossoliński dał dowód w strachach, niemogą iść o pierwsze; bo w ostatnich widać autora, który żył w tym świecie, przesiąkł nim — dopiero gdy się w innéj epoce i innem społeczeństwie znalazł, powtórzył ten świat, odlewając go z jednolitego kruszcu; a jeżeli domieszał cośkolwiek z tego co znamionowało epokę jego, która wojnę wydała mnichom w Monachomachiach, trawestowanych Eneidach, lub dziewicach Orleańskich, tedy uczynił to nie kwoli mody ciskania się ówczesnych filozofów na kościół i wiarę, ale jak rozsądny poprawiacz nadużyć i śmieszności.

Kształt tego utworu winien Bokacemu. Florencki powieściarz zgromadza do rozkosznéj willi, pod cień platanów, kilkanaście pięknych kobiet i mężczyzn. Srogie morowe powietrze zabiera codzień tysiące ofiar — co tu robić, czém umysł zatrudnić, żeby o niebezpieczeństwie niemyśleć? Oto opowiadajmy sobie historye. Zgoda! zawołało zgromadzenie. I tak powstały nieśmiertelne powiastki, z których utworzył się Dekameron. Miłość gra tam główną rolę, bo miłość, to przedmiot niewyczerpany; bo ta Pampinea, Fiametta, Lauretta, Neifila, i ów lutnista Dioneo, mogliż o czém inném jak o miłości rozmawiać? — Wieczory badeńskie pod inném godłem powstały: opowiadacze niemieniają się kolejno, ale sam autor bawi swoje grono; posłuchajmy zawiązku téj pogadanki: „Kilku nieszczęśliwych Polaków upadkiem ojczyzny po świecie rozproszonych, zebrało się było do kąpieli badeńskich, to zdrowia szukając, to już byle kąta, gdzieby spokojnie ziewać. Schodziliśmy się przykre jesienne wieczory razem przepędzać. Jaki taki zaczynał nad klęskami krajowemi stękać. — Ej! daj pokój — rzekli drudzy, niejątrz rany jeszcze niepodeschłéj. — Ktoś, lepszą przyszłość chciał rokować; temu także zamkniono usta, iż nie nam to czego dobrego spodziewać się.

„—Kiedy nie to, kiedy nie owo — odezwała się pewna dama — plećmyż sobie bajki o upiorach. — plećmyż; wyrwałem się..... Od razu uchwycono za słowo.

„—Zaczynaj, a nuże! Skrobałem się po głowie, chrząknąłem, odkaszlnąłem, poprawiłem się na stołku.... wiokano a wiokano. Mój pegaz jak się zaciął, tak ani drgnął nogą. Czas był choć otworzyć usta. — Inaczéj więc być niemoże, rzekłem, każesz mi tedy pani pleść dziwy o strachach? Przecież racz się pani cokolwiek zastanowić, że kiedy kogo, co nic niewie, za język ciągną, żeby koniecznie coś powiedział, powie to, czego niewie, dla tegoć to król nasz zniósł tortury.“ — Ale darmo! trzeba było zacząć — do kogóż się o natchnienie udać? oto do Asmodeusza, który po strychach i dachach madyckich nosił Dona Kleofasa, Leandra Peresa, Zambulona. Wezwanie to, charakteryzuje rodzaj kompozycyi Ossolińskiego; nietrudno będzie między nim a nieśmiertelnym Lesażem (Le Sage) dopatrzyć powinowactwa: ta sama śmiałość i pewność rysów, ta znajomość ludzi, ten prosty rozsądek giermka Donkichotowego, który w proch rozsadza wymarzone sentymenta, i dziwolągi fantazyi sprowadza do ich właściwéj wartości, a który znowu przez usta *Gil-Blasa* i *Djabła kulawego* zdziera maskę hipokryzyi, i blichtry, któremi się tak sztucznie społeczność powłóczy.

Wspomniałem już, że sposób opowiadania Ossolińskiego niezmiernie jest trafny, dobitny, malowniczy, żywy; wyrażenia się, zwroty językowe, uderzają niespodzianością; a przytém taka zwięzłość, taka dosadność, jaką tylko w starych Grekach lub w Tacycie napotkasz. Nieraz musisz się dziwić jak w prostym rysie, w słowie rzuconém niedbale, potrafił zamknąć obraz skończony? Kiedy innyby obdarzył cię kilkoma kartami szczegółowego opisu, on kończy na kilku słowach; i te kilka słów dadzą podobieństwo wykapane, a długi opis — do niczego niepodobne malowidło. Czytając go zdaje ci się, że nieczytasz autora, ale słyszysz opowiadanie jakiego staréj daty bywalca, co to wycierał się po różnych kątach, nabrał niemałéj znajomości ludzi, a zaczerpnąwszy też nauki z książek, umiał zwietrzyć każde frantowstwo, dopatrzyć śmieszności, ale nie z gruba nastąpić na nią, tylko na harc wywabić, objechać, i niedobywszy nawet furdymentu, z pola spłoszyć. — We wszystkich jego powiastkach czuć nadzwyczaj wiele dramatycznego żywiołu; treść częstokroć niewyszukaną, jakąś prostą anegdotę, tak upoetyzuje łączącemi się z nią szczegółami, że może wzbudzić najżywsze zajęcie. Ossoliński przymiot ten posiada w wysokim stopniu. Niewątpię, gdyby był popróbował sił w komedyi, mielibyśmy może najoryginalniejszy utwor dramatyczny w naszéj literaturze. Weźmy tylko którąkolwiek z jego powieści, a przekonamy się, że każda da gotowiuteńką osnowę do komedyi; co więcéj, każda figura jest w takich rysach rzucona, że dosyć jest, aby w pełni ożyła, tylko te linie poprowadzić, które ołówek ominął lub przeskoczył. Zaraz w pierwszéj powieści: *Trafił swój na swego*, jak wybornie odmalowany gwardyak z dawnych czasów rzeczypospolitéj, pokiereszowany na runtach i zajazdach, co to w nagrodę nie zasług, lecz cierpliwości dosłużył się stopnia kaprala. — Przychodzi na kwaterę do Czerska; dają mu dobrą izbę, lecz z ostrzeżeniem, że tam straszy. — Banaluki! krzyknął nasz junak — nieraz się djabeł poskrobie po czuprynie niżeli się do mojéj zerwie: macie miód? tytoń? pieczonkę? — Brawo, kiedy to jest, reszta furda — wziął się pod pachę i gwizdał. — Teraz widzimy go jak czeka na stracha: wychyla szklanicę po szklanicy za każdém uderzeniem zegaru — nareszcie, gdy trunku niestało rznął butelką o ziemię — aż w tém drzwi się otwierają — wchodzi coś czarnego. — Każdy inny byłby zemdlał na ten widok — gwardyak i fajki nawet niewypuścił, tylko obces ściągnął ku czuprynie, a dobywszy furdymentu zaczął go okładać. Duch na kolana — pokazało się, że to był parobek Błażek zalecający się do córki karczmarza. Przyznaje się i wciąga kaprala w intrygę. — Potrafcież jeno w to, żebym miał Kaśkę, a będzie wam błogo. Przyjdziecie sobie do nas, najecie się, napijecie, niedacie i halerza.... Prosta rzecz, że kapral nazajutrz tak nadrobił przed rodzicami Kaśki, że ją oddali Błażkowi; ale za ten uczynek, tak opijał i objadał nowożeńców, że byliby poszli z torbami. — Błażek przywiedziony do ostateczności robi mu cierpkie wyrzuty — kapral zdradza rzecz całą. Sprawa się wynosi przed wójta. Niezawodnie byliby Kaśkę do klatki zamknęli, gdyby niebyła zemkła, a Błażka wywołaliby z miasta, gdyby i on był nóg za pas niewziął. Kapral odtąd musiał spijać się za swój grosz. — Teść za obojga grzywny zapłacił; a pana wójta po tak ciękiéj pracy głowa niebolała dłużéj jak od pełni do nowiu.

W każdéj, jak rzekłem, powiastce występuje postać jakaś przedstawiająca zupełny, molierowski charakter — w pierwszéj widzieliśmy junackiego kaprala — w innéj skąpiec Liczygrosz, przedni oryginał — co to z początku dawał na lichwy, potém już grosza z rąk niepuszczał, gdyż ażeby brać, wprzódy trzeba było dawać; co to kiedy zaczął skarbniczkiem do Lwowa jeździć, nikt go niewidział na popasie, chyba przy cudzéj strzesze, nieupijał się tylko litkupem, albo na sejmiku; niejadał smaczno, chyba na stypie; niepłacił, tylko przez *Bóg zapłać!* — A ówże Komornikiewicz zgrywający się w faraona, co potém djabłu pisze na siebie cerograf — szczęściem, że djabłem był pan ojciec, który mu dobre dał za to pamiętne. Nieporównany jest także w swoim rodzaju młokos, co to się uchwycił klamki dworskiéj, i puścił się torem Don Juana, uwodząc kobietki, zgrywając lub zastrzeliwając w pojedynkach mężów. — A ówże Słupecki, ów ideał średniowieczny, zdziercy i ciemiężyciela poddanych! kazał kopce i miedze graniczne zaorać we wsi; tym sposobem jeden łan się zrobił, na którym kiedy się jaka krówka cudza pokazała, zaraz zajmował — tak też i przyszedł do znacznéj obory — ale przekleństwa ludzkie sprawiły, że cała zgraja szatanów najechała jego dwór; — próżno exorcysta kropi i święci — szatany niechcą ustąpić — niepozostaje jak powrócić Słupeckiemu co wziął cudzego — już daje rozkaz aby każdy brał co swoje, tym czasem kiedy poczną rozrywać oborę żal mu się robi; ni z tego ni z owego natłoczywszy czapkę na uszy, zawołał: przecz ze wszystkiém na oborę —... I djabli znowu broją po domu — aż nakoniec i Słupeckiego porwali. — Nieboszczyk z grobu wstaje i prosi, aby co cudze oddano — jakiś braciszek z zakonu, jedzie do wdowy z tém poleceniem nieboszczyka — ale wdowa jak krzykła: jakiém prawem mąż mój może tém szafować, co teraz pod mojém dożywociem? jak nastraszyła braciszka związaniem — tak też i na tém koniec. — Chłopki nic nieodebrały; i nic niewie Długosz co się potém stało.

Cały ten przedziwny pomnik humoru i dowcipu naszych przodków, tego humoru, który dziś przybiera charakter spleniczny, tego dowcipu, który dziś sadzi się na kalambur lub na grę wyrazów złośliwą, a niewywołuje serdecznego uśmiechu — składa się z powieści kilkunastu z następującemi nagłówkami: Trafił swój na swego. — Mara. — Dwaj Missyonarze. — Nie użyje, nie zje, nie spije; djabeł przyleci i porwie. — Nieboszczyk i nieboszczyk. — Cerograf. — Widziałem to na oczy. — Jakiś djabeł. — Boruta, albo rozmowa o nim między Jegomością, Jejmością, Plebanem i Szyprem. — Historya pewnego klasztoru wypisana z rękopismu. — Upiór. — Historya Łukasza Słupeckiego, za Długoszem. — Dobra dusza. — Nieboszczka prosi o głos. — Czarownica. — Umieraj jeszcze raz, jeźlić życie korci! — Coś, co się niepowiedziało. — List Pliniusza o strachach; palinoida za wielebnemi.

W ostatnim tym liście czyli epilogu sam autor robi uwagi swoje nad strachami; uwagi te w owym czasie, kiedy podobnego rodzaju wypadki zdarzały się częste, kiedy jeszcze niedawno Bohomolec uczenie pisał przeciw czarownicom, były bardzo na dobie. Posłuchajmy trafnego zdania: „Niepodobnym rzeczom do wiary, tém łatwiéj wierzymy, może przez to samo, że je z pierwszego rzutu myśli, nie sądzimy za godne roztrząsania. Dobrze ktoś powiedział: mniéj na świecie występków niż błędów! Zaiste i liczne zabobony, często raczéj nierozsądek niż złość tworzy. Zgoła i najmędrszym czasem w głowie świta, podług owego Naruszewiczowego:

Wybaczcie mi proszę was, Greccy sapienci,
I wam się też jak innym ludziom w głowie kręci!

Oszuści warci pręgierza: Głupiochlubskich wydrwił Lucyan. Wybaczmy błądzącym i pamiętajmy, że każdy ma swe głupstwo, tylko jeden go wziął funt, a drugi połowę.“

POEZYA.

WIDZENIE.

I.

Cisza w koło — spocząć trzeba, —
Bo dłoń Boża kryje słońce,
Cień jéj wielki padł na ziemie;
Złote gwiazdy, senne gońce,
Tęsknym wzrokiem patrzą z Nieba
Na uśpione ludzkie plemie. —

Sny! — marzenia! — obraz życia! —
Komu obce ducha tchnienie,
Kto nic niezna, prócz użycia,
Tego sen, jest zapomnienie! —
Lecz kto walkę przewiódł z światem,
Bolał nad nim jak nad bratem,
Szukał prawdy w sercu własném,
Tego sny: o niebie jasném,
O duchowém życiu ludzi,
I o cudach téj przyszłości
Któréj pragnie wiek młodości,
Gdy Bóg czucie w nim obudzi. —

I jam marzył, — że wśród nocy,
Gdy spoczywa świat w niemocy,
A myśl z duszy w niebo leci,
Dwóch nas było, — braci dawnych
Rodem z ziemi nieszczęść sławnych,
Dwóch nas było — i Bóg trzeci! —

Drogi nasze los rozdzielił. —
On, potęgę dobył myśli
Co pomniki życia kryśli,
Wielkie prawdy w siebie wcielił; —
I widziałem w jego twarzy
Taki spokój i moc duszy,
Jakiéj piekło nieporuszy,
Bo nią wiara ludzi darzy. —

„I tobie“, rzekł mi „wkrótce niewystarczy
„To ziemskie życie; — smutek cię obarczy. —
„I w Tobie serca ozwie się tęsknota;....
„Słuchaj więc treści mojego żywota:

„W poranku życia, ja nieznałem wiosny; —
„I choć mnie witał śpiew życia radosny
„I brzmiał po ziemi i wracał do nieba,
„Jednak w méj duszy on nieznalazł echa.
„I w sercu, nad to co daje uciecha,
„Większego szczęścia nie tlała potrzeba. —
„Bo mi, dziecięciem, wróżki nieśpiewały,
„Ani aniołów skrzydła otulały
„Od mrozu życia i świata zamieci; —
„Ani mnie wiodły, ponad ziemi ciemnie,
„Sny czarodziejskie przeczucia, nadziei,
„Rajskie obrazy, cudowne i święte,
„W niewinném sercu i w niebie poczęte; —
„I dobry anioł nieostrzegł tajemnie,
„Że siłę ducha ten w pełni wyrobi,
„Komu natchnienie, kwiat życia jedyny
„Z cudnéj Edenu zerwany doliny
„Jasnym wieńcem skroń ozdobi! —

„W poranku życia, niekochałem ludzi; —
„I dla wszystkiego, co wielkiém i świętém,
„Z duszą oziebłą i sercem zamkniętém,
„Bez uczuć bratnich, które miłość budzi,
„Myślą do nieba piąłem się zuchwało! —
„A prawd odwiecznych tak pojąłem mało,
„Żem mierzył przestrzeń wśród nieskończości, —
„Żem czas obliczał na progu wieczności, —
„I lot straciłem! — świata czułem brzemie —
„Z złamaném skrzydłem upadłem na ziemię!
„I choć widziałem, co świat w sobie mieści
„Natchnień, nadziei, szczęścia i boleści, —
„I choć widziałem, w harmonijnéj zgodzie,
„Co człowiek w sztuce, Bóg stworzył w przyrodzie,
„Jednak ten widok ducha nieocalił! —
„Rachubą myśli bez wiary pojęty,
„Iskry z nieba niezapalił! —

„I duszę moją otoczył mrok ciemny,
„A serce stygło! — głos tylko tajemny,
„Głos serca mówił: że jest cud na świecie,
„Dusza przeczysta, z wejrzeniem anioła
„Boskie promienie siejącém dokoła, —
„Z uczuciem świeżém, jak rosa na kwiecie, —
„Z mową tak słodką, jako z niebios pienia, —
„I z myślą świętą, jak myśl odkupienia! —
„A kto ją spotka, widzi okiem wiary! —
„A kto ją pozna, kocha świat bez miary!....
„Próżnom jéj szukał w pośród uciech koła —
„Dziewica ziemi miała lot anioła. —

„Lecz promień Boski duszę rozpłomienił,
„I jam cud ujrzał! — sercem go ocenił!
„I w nim świat cały ukochałem szczerze! —
„Tej nowéj siły we mnie niezachwieje
„Nawet brak szczęścia! — bom złożył nadzieję
„W uczuciu wielkiém, co moc z nieba bierze!“...

Gdy to wyrzekł, — mnie się zdało,
Że ciemności w dół przypadły
I promienie gwiazd pobladły, —
A tam — w dali — rozwidniało! —

On, skinieniem noc oddalał, —
I ognistą łunę zorzy
Co zwiastuje nam dzień Boży
Blaskiem oczu swych zapalał!....

A w tych oczach, ognie święte! —
W myślach jego, przyszłość świata! —
W sercu, czysta miłość brata
I tak wielkie czucie tlało,
Jakby Bóstwo niepojęte
Swojem tchnieniem go owiało!....

I rósł w niebo! — wzbił się w górę! —
Czoło ukrył w złotą chmurę, —
Zapał błysnął mu w źrenicy,
Siłę czynu miał w prawicy! —
I poznałem w rysach jego
Przemienionych,
Ubóstwionych,
Z grobu ziemi wywołaną,
W dawną chwałę przyodzianą
Wielką postać ludu mego!....
I już jawném mi się stało,
Że ta zgoda myśli z wiarą,
Że to słowo składni świata
Wróciło nam wielkość starą,
Wróciło nam młode lata,
Bo w uczuciu spoczywało
Które naród w piersiach żywił!....
Wstał potężnym! — świat zadziwił
Jdeałem piękna, cnoty,
Wszechmiłości i wszechzgody! —
Wielkim czynem odżył młody! —
I zajaśniał mu wiek złoty!......

Ledwom korne schylił czoło
Przed tym cudem przemienienia,
Już pieśń życia brzmi w około, —
Nikną cienie gdzieś w przestworze, —
Wschód wylewa światła morze,
Ogniem płoną zimne skały!....
Jakby w pierwszym dniu stworzenia
Rozradował się świat cały!
I nadziei przywdział szaty,
Skroń uwieńczył w złote kłosy,
Pod swe stopy rozsiał kwiaty,
Na nich, drżące perły rosy
Jak łzy szczęścia zajaśniały!....
I lud wszystek Pana sławił!....
A On, z tronu przedwiecznego,
Słowem Zbawcy, znakiem Jego,
Przyszłym czasom błogosławił! —

* * *

W przestrzeni światów myślą nieścignionéj,
W nieznanych potęg cudownéj krainie,
Z początkiem czasów, z łona Bóstwa płynie
Pieśń harmonii nieskończonéj!
Do czyjéj duszy echo jéj doleci,
Tego świat wieszcza powita imieniem,
Ten skroń swą wieńczy ludów uwielbieniem,
Poźnym wiekom gwiazdą świeci! —
Dotąd jéj światło, na burzliwéj toni,
Nawę ludzkości od zaguby chroni; —
Czyliż my jedni nieujdziem rozbicia? —

Wśród błysku gromów głębie się rozwarły,
Liny stargane, żagle wichry zdarły;....
Wznidź więc, o gwiazdo! — wskaż nam brzegi życia! —

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Krytyka literacka i naukowa.

LISTY O KRAKOWIE

przez ***Pęcławskiego*** — *Poznań w drukarni Wojkowskiego 1850 roku.*

. . . . . biła bez litości;
Uchowaj nas Boże, od takiéj *miłości!*

Godło to z Krasickiego właściwie zastósowane do złośliwéj dewótki, niemogłem jak tylko przyłożyć do tych listów, które co drugie słowo rozwodzą się z miłością swoją nadziemską, a nielitościwie szarpią nietylko ogół mieszkańców Krakowa, ale i pojedyncze, po nazwisku wymienione osoby. Ta niepohamowana chętka chłostania i wprawo i wlewo, sprawia, że książka coby mogła mieć pewną zaletę pod względem niektórych trafnych obrazków i postrzeżeń pochwyconych z życia, utraca ją, schodząc do rzędu karykatury, lub paszkwilu. Takowa dążność naprowadza na wniosek, że autorowi nietyle szło o rzetelne wytknięcie wad i błędów, ile o wywarcie niepoczesnéj zemsty, już na społeczeństwie, które może dało mu uczuć nieprzyzwoitość jego excentryzmów, już na osobach, które nieprzyznały mu do pewnych uroszczeń prawa. Tak przynajmniéj możnaby sobie tłumaczyć cały plan téj satyrycznéj wyprawy; jeżeli z drugiéj strony pobudką do podobnego wystąpienia, niebyła chęć uczynienia swéj książeczki rozgłośną; bo jak doświadczenie uczy, w pewnych momentach literackiego otrętwienia, skandal najlepiéj popłaca. Są to przypuszczenia tylko, ale przypuszczenia czerpane z saméj książki.

Przyznam się, sposób to niebardzo chrześciański, ani też tchnący zbytnią miłością, wynieść się jak balonem na skrzydłach idealnéj doskonałości, i z tego nadziemskiego stanowiska, sądzić biedne miasto i jego mieszkańców i to bez względu na warunki jego istnienia, z poświęceniem stosunków i wpływów, które je zrobiły czém jest. Autor za największą winę poczytuje Krakowowi, że wiele o nim bardzo pięknego namarzył sobie od dni dziecinnych — a skoro go obaczył, znalazł tylko groby — i nic więcéj! — Widno, że tu zielona młodość i niedoświadczenie przemawia; gdyby antor albo więcéj żył i znał lepiéj świat, byłby wiedział, że wszelkie sny nasze i marzenia tak o miejscach, jak ludziach, zawsze są piękniejsze od rzeczywistości. Wreszcie, nieposądzam go; może ta tajemnica życia niebyła dlań tajemnicą; ale raz usiadłszy na swoim trójnogu, otoczony snami i ideałami, wydaje wyroki, jak na sądzie ostatecznym. Nie Kraków, każde miasto pod słońcem, musiałoby przepaść, gdybyśmy taki sąd na nie złożyli; nie już nasza, żadna spółeczność niewytrzymałaby podobnéj krytyki. I to wszystko dzieje się w imie miłości powtarzanéj na każdéj karcie do unudzenia, miłości, któréj imienia nadużywa, podobny w tém do tych co piszą i krzyczą: wolność, równość i braterstwo! a płodzą niewolę, pychę i nienawiść. Przyznam się, że daleko więcéj wiary i ufności w sąd swój, byłby pozyskał, gdyby bez drapowania się w anielską szatę, poprostu krzyżową sztuką, ciął swoje prawdy. Jaki taki powiedziałby: wróg, ale prawdę gada; a teraz jaki taki wnioskuje: obrażona miłość własna — i nic więcéj.

Uważałem, że chciawszy wydać zdanie najsprawiedliwsze o jakiéj rzeczy, najlepiéj odnieść się do najpierwszego o niéj wrażenia; późniejsze badanie i rozwaga powinny się na niém opierać. Toż przystępując do uwag nad Listami, pytam się, jakie było moje pierwsze wrażenie? Oto — jakiś rozdźwięk w uczuciu; przed oczyma na raz stawały mi rysy jasne, barwiste — jakby żywa prawda; ale tuż po nich przewłóczył się brudny dym i kopciem osiadał — jakby żywy fałsz. — Zaiste niemożna odmówić autorowi pewnéj zręczności w odrysowaniu sceny humorystycznéj na banhofie, i rozmowy z politykującym kielnerem. Są to obrazki obyczajowe, zdjęte z natury; widać, że namacał komiczną żyłę Krakowian, wykrył słabostki ich; cóż mu przeszkadzało daléj nurtować w téj obfitéj kopalni? dla czegóż do scen podobnie dramatyzowanych niewprowadził i takie plotkarki i dewotki i postępowe panny; czemu nieodsłonił tych zasklepowych komorek kędy się schadzają politykujący bibosze i wyrabiają opinie dzienne? Wszakże tak rysując, mógł był odzwierciedlić całe spółeczeństwo — i nikogoby nieobraził, a może niejedno poprawił. — Ale widać, że ta bezpretensyonalna metoda, niemogąca się obejść bez pewnéj dokładności rysunku, zdała się być uciążliwą autorowi, wolał ją też zamienić na pewien liryzm, który w prozie bardzo na szumną, pustą deklamacyą wygląda, na galamatias z dźwięcznych frazesów Pani Sand, Słowackiego (z epoki króla ducha), i Przedświtowych reminiscencyj.

Ale mniejsza to; nie chodzi tu o formę; każda bowiem dobra, jeśli stoi w świetle prawdy. Nikt niezaprzeczy autorowi listów, że kiedy nienawiść go niezaślepi, umie widzieć; kiedy z planu nieszarpie i niekąsa, umie namacać. Ustęp, który tu wypisuję, poświadcza o lepszém jego usposobieniu, niż tendencyi objawionéj w całéj książce: „Drzemiący ptak demokracyi osiadł na waszych murach i szerokie skrzydła ciemności roztoczył nad wami. Wygodnie wam pod niemi; światło słońca nie dojdzie ócz waszych; przez gęste pióra cieplejsza myśl, silniejsze tętno w głowy i serca wasze się nieprzedrze. Wygodnie wam spać pod niemi. Ale niechno kto nad głowy strychowane podniesie się jeden cal wyżéj, niech was przerośnie, niech was zaćmi majątkiem, zdolnością, sercem, o biada mu, zakraczecie go jak wrony. Zazdrość nieda wam spać, próżność i miłość własna kłuć będzie i dzióbać, dopóki lotniejszego ptaka niewygoni z pośród siebie. Każdy bogatszy u was arystokratą, każdy zdolniejszy szpiegiem, każdy poczciwszy głupcem, a każdy gorętszy waryatem. Niemożecie ścierpieć żadnéj wyższości, ale na nieszczęście patrząc na nią niemyślicie podnieść siebie, tylko *wyższego poniżyć*. Głowy i serca muszą być u was kroju jednego krawca. — Biada temu kto was czém zaćmi; ile jest żółci w brudnych paszkwilach, ile jadu w waszych sercach, tyle nań wyzioniecie. Zabłoceni, patrzeć na czystego niemożecie, a choć niezdołacie zbrudzić jego ducha, oplujecie jego imie, pokryjecie go wszelką hańbą; wszystko, do czegobyście sami byli zdolni na karb jego włożycie; ramiona jego przybijecie do krzyża opinii — za to, że śmiał być lepszym, albo mędrszym od was.“ — Smutne prawdy; a choć trudno im przeczyć, jednak z drugiéj strony Kraków, pomimo grobów i pamiątek dziejowych jakie mieści w swych murach, niczém niejest i od kilku wieków niebył, tylko miastem prowincyonalném. Główne ogniska ruchów umysłowych, zbierały się w punktach odpowiedniejszych swemu przeznaczeniu, niż pograniczne miasto zamknione potrójną granicą. Dodajmy do tego i to życie drobiazgowe, ni to publiczne ni prywatne, jakie się musiało wyrobić w tak drobnéj rzeczypospolitéj — niezadziwimy się dla czego niedźwigło się w stolicę moralną narodu, ale poprostu, po ludzku, zostało czém jest, z wszystkiemi wadami, śmiesznościami, drobnostkami partykularza. La Bruyére, ten doskonały znawca rzeczy i ludzi trafnym sądem przybywa mi w pomoc: Il y a une chose que l'on n'a point vue sous le ciel, et que, selon toutes les apparences, on ne verra jamais; c'est une

petite ville qui n'est diviseé en aucun parti; ou les familles sont unies et où les cousins se voient avec confiance; où un mariage n'engendre point une guerre civile; ou la querelle des rangs ne se reveille pas á tous les moments par l'offrande, l'encens et le pain bénit, par les processions et par les obsèques; d'ou l'on a banni les caquets, le mensonge et la mèdisance itd. — Kraków więc obrany z tego co daje świetność i wagę stolicy, niedorósł w olbrzyma o jakim autor marzył; a choć mu wyrzuca groby królów, które powinny były sprawić na nim cud odrodzenia, zapomina, że groby zawsze są tylko grobami; że podług jego teoryi nie Paryż powinienby być stolicą Francyi, ale takie St. Denis, lub Rheims. — Zgadzam się, że gnusność, próżniactwo mieszkańców niesprzyjają rozwinieniu się kultury moralnéj i materyalnéj; ale przyznać musimy, może to być przywara całego narodu, a nie jednego miasta. Za cóż jednych obciążać zarzutem, jaki i na ogóle ciąży? — Ale zapewne, kto raz puści się drogą wykrzykników, niełatwo opamięta się na niéj. Sądy te wszakże do darowania, bo któż nas niesądził i tak i jeszcze gorzéj? Z tém wszystkiém, postrzeżeń autora o kobietach, trudno puścić płazem. Gdyby nie p. Pęcławski stojący na czele książki, myślałbym, że ustępy te kreśliła jakaś na płeć swoją zawzięta pani Sand w kieszonkowém wydaniu, albo nareszcie i mężczyzna, ale libertyn zepsuty towarzystwem loretek i gryzetek. Gniewa go patryotyzm Krakowianek, pobożność ich, wstydliwość, cnoty domowe — bo to powiada: fałsz ironia, hypokryzia, udanie, — Woli nawet kobietę uliczną... Jestliś ty bożkiem jakim, przed którym widne tajniki najskrytsze serca ludzkiego? czyli też prostym oszczercą? czy tak zepsutym, że nawet dobry obyczaj i cnota w drugich w oczy cię kole? Zaiste wprawiłeś mię w kłopot nielada! Jam dotąd myślał, że obyczaj surowy, cnoty domowe, ciche, więcéj warte niż uliczny skandal? Że choćby jaki tam fałsz krył się pod niemi, to przecie niemasz prawa rozstrząsać głębi sumień, i ciskać klątew nato, co niemogło być oku twojemu widne. Potępiłeś w czambuł kobiety — ale mniemam, że nielepiéj znasz ich towarzystwo, jak ten chłop, który rozpowiadał o smaku cukru, podług tego co mu nieboszczyk gwarzył stryjaszek. — Uważałem, że pewne koła towarzyskie najsurowiéj bywają chłostane przez tych, którzy w nie niemają przystępu.

Tymczasem w towarzyskich kołach figura p. Pęcławskiego mało, albo wcale nieznana; a bawił przecie dość długo, aby mógł nietylko Kraków z wierzchu obejrzeć, ale i przetrząść w domowych skrytościach. Prawdziwie grzech niedodarowania, taka oszczędność w pokazywaniu swojéj osoby. Ileżeśmy na tém stracili! Młody, nieznany geniusz, który jak fascykułem starych szpargałów trzęsie medykami, prawnikami, teologami, filozofami, jeografami, który wzniesiony na wysokość każdéj umiejętności, ocenia jéj niedostatki w uczących, wytyka niedostateczność wykładu, wie co jest i co być powinno — a to klejnot taki człowiek! — dajcież nam go, pokażcie, zapiszcie, sprowadźcie, poszlijcie z góry dyplom na doktora wszystkich cztérech fakultetów, składajcie u nóg katedry, niech złote jego słowo każe górom radować się a skakać jeleniom...! O panie Pęcławski — duchu, olbrzymie, orle, sokole, ostatni Wajdeloto! — czy jak sam siebie mianować raczysz — krzywdęś nam ciężką wyrządził zachowując tak ścisłe incognito. Żart na bok, ale wierz mi, niepięknieś się spisał. Przybiłeś pozew na kilku katedrach i skryłeś się — w konopie, jak woźny trybunału. — Niemoja rzecz bronić dawnego Uniwersytetu -- wiem tylko, że ścieśniony, bez uczniów, bez rozgłosu, bez poparcia, kisnął sam w sobie; lecz ile rozumiem, ty nie o dawnym, ale o dzisiejszym mówisz; a w takim razie trzeba być człowiekiem bardzo złéj wiary, aby niepostrzedz odbywającego się w nim ruchu. Ledwo dwa lat, jak ożył pod wpływem zbawiennych urządzeń nowego ministra, a sześć nowych katedr powstało. Działanie jego rozprzestrzenione na Galicyą, zawarowane swobodą nauczania, zaraz objawiło się wydawnictwem ksiąg naukowych i elementarnych oraz kursami dla większéj publiczności. Dwa lata — to przecież zbyt krótki okres, aby instytut jakiś, co zależał pole, od razu stanął na wysokości takiéj Getyngi, Halli, Heidelbergu. — Ale mniejsza o to, tobie głównie idzie, abyś mógł olbrzymią pochodnią swéj wiedzy i erudycyi pomierzyć lilipucie światełka naszego Uniwersytetu. Dalejże pod sąd doraźny, pod gorące prawo! — Ten profesor on nic nienapisał — potępiony! — ale uczy dobrze — potępiony! powinien pisać. — Alež mości Radamancie, niemiał za co drukować; a choćby i wydrukował, niesprzedałby, bo na ściśle naukowe książki po polsku niebyło pokupu. — Nic to, potępiony! — Aha! oto prawnik, znam cię — pisałeś wiele, dość wiele! ale szkoda, zeszedłeś z pola naukowego; jesteś adwokatem i bawisz się adwokaturą; powinieneś bawić się czém inszém, co do ciebie nienależy i czego nieumiesz. — Ruszaj — potępionyś!

— A WPan coś robił? — tłumaczyłem.... — Pisz oryginalnie — potępionyś! — A tyż panie matematyku, obrachowałeś 40,000 gwiazd i na laurach spoczywasz? — Niespoczywam, a choć wzrok spracowałem nauczam i piszę, matematyka moja drukuje się. — Potępionyś! powinna być już wydrukowaną. I w podobny sposób daléj rąbie nasz rycerz: Ten astronom dobrze wykłada, umie przedmiot, ale szkoda, że Niemiec; ów znowu Polak, ale szkoda, że nie Niemiec; ów filozof jest porządnym profesorem, wykład jego do najlepszych należy, nieszczęściem ma nałóg skakania w języku!.. — Ów bibliograf, wykłada z szczerą chęcią przelania nauki w uczniów, ale zamiast bibliografii, uczy grafiki, historyi, drukarstwa, numizmatyki; co za nieszęście, że tyle uczy! — Zgoła trudno ci panie dogodzić, wszędzie znajdziesz jakieś *ale*, szczęście, jeżeliś je żółcią i jadem nieoblał; szczęście, jeżeli tylkoś oceniał profesora na katedrze, a nie w prywatném życiu. O! bo trzeba wiedzieć, że bystre oczko twoje wniknęło wszędzie; słyszysz jak trawa rośnie — niby podróżny w przelocie, a wie na palcach co kto robił, co robi, ledwo nie co myśli robić; niejedno dziecko krakowskie, co tu się wylęgło i uczyło, tyle nie wie ploteczek, co nasz wojażujący dostrzegacz. — Pytam każdego, co do biblioteki uczęszcza, czy widział kiedy szanownego bibliotekarza w tym stroju w jakim go p. Pęcławski wystawił? Zaiste, dopiero z tajemnic téj książki dowiadujemy się o jego szorstkiém obchodzeniu się — czy podobna wpadać w takie gniewy, jeżeli naiwny studencik przychodzi prosić o dzieła Kościuszki lub Czarnieckiego? A to się niegodzi! Szanowny bibliotekarz powinien to brać w znaczeniu przenośném i uśmiechnąć się; a tytułem *osła* też nieszastać, bo przecież i kłapouchy ma swoje prawa, a byle tylko napisał książkę, to już mu pewno p. Pęcławski da absolucyę. Najprzykrzejszy zostaje mi obowiązek dotknąć tego, co o p. Polu powiedział. Wyliczać jego zasługi, byłoby jedno, co ubliżać mu; co dawać do poznania, że kraj o nich zapomniał. Sądzę, że prof. jeografii odpowiedział już zwycięzko na potwarz. Na jego odczytach w ciągu zimy tłum słuchaczy, niemógł się w auditorium pomieścić.

Autor nagadawszy jeszcze, że nie paszkwilant, nie oszczerca, ale duch który się kładzie na duchach bez ducha, i tym podobnych wiele przenośni niebardzo jasnych, kończy apostrofą do wielkich ojców, prosząc ich ni mniéj ni więcéj, jak aby zstąpili, i połączywszy dwa morza, baltyckie i czarne, sprawili Krakowowi ostateczną łaźnię; myśl rzeczywiście pełna filantropii, zwłaszcza gdyby się mogła była spełnić w chwili piekielnego ognia, który nas tak srodze nasmarzył.

Wiadomości Bibliograficzne i Artystyczne.

Kraków. Do strat jakie drukarnia Uniwersytecka przez pożar poniosła, policzyć należy, okazałe wydanie *Drzeworytów w bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego zachowanych;* z całego bowiem nakładu została bardzo mała tylko ilość egzemplarzy. Szczęściem że same drzeworyty ocalały. Zbiór o którym mowa, wydany został staraniem prof. Muczkowskiego; składa się on z 2816 sztuk. W liczbie tych znamienite pod względem sztuki zajmują miejsce ryciny z biblii Leopolity, robione przez pierwszych podówczas artystów niemieckich, z monogrammatami M. S., S. P., W. S., S. H. F. — niemniéj z Postylli Wujka ile się zdaje rylca sławnego Josta Ammona; a najznakomitsze z dzieła, Jana Wuchaliusza: Żywot Pana Jezusa, bo według rysunku Jana Schäufleina ucznia Dürera. Zastanawia kika prześlicznych rycin włoskich zapewne przygotowanych do Orlanda Szalonego. Bliżéj nas interesują ryciny do Bielskiego kroniki świata, i do kroniki polskiéj, jako ile się zdaje, przez naszych artystów wykonane; równie jak drzeworyty do Paprockiego *Gniazda Cnoty;* chorągwie krzyżackie zabrane pod Grünwaldem robione podług Długoszowego autografu przechowującego się do dziś w kapitule krakowskiéj. — Zbiór ten wielce zajmujący nieodzownym jest dla każdego badacza historyi sztuki rytowniczéj w Polsce.

—— Pierwszy zeszyt: *Rocznika Tow. Naukowego* na r. 1850 opuścił drukarnię uniwersytecką, i zawiera następujące artykuły: J. Majera: Rozbiór fizyologiczny wprawy, przyzwyczajenia i nałogu. Zeisznera: Opis geologiczny pokładu siarki w Swoszowicach. W. Pola: Rzut oka na umiejętność geografii ze stanowiska uniwersyteckiego wykładu. Kulawskiego: Ustęp z historyi Szląska. — Odezwa Tow. Nauk. w celu archeologicznych poszukiwań. Spostrzeżenia w obserw. astr. krakowskiém z mies. stycznia do marca 1850 r.

—— W wydawnictwie dzieł katolickich wyszła: *Kalwarya Zebrydowska* i jéj okolice pod względem dziejowym i archeologicznym; napisał Józef Łepkowski. Dziełko to miało mieć ryciny, lecz takowe spłonęły w pożarze. Autor kreśli dzieje Kalwaryi związane z historyą jéj założyciela, sławnego z rokoszu Mikołaja Zebrzydowskiego, daje opis kaplic, nagrobków, obrazów, biblioteki, niemniéj wsi Zebrzydowic, bliskich zwalisk Lanckorony i Berwałdu. — Szkoda tylko, że dla uzupełnienia obrazu, nierozpisał się autor obszerniéj o odpustach, na które w to miejsce święte zgromadza się nieraz po sto tysięcy ludu. Obraz ten z życia wzięty byłby ożywił martwe niekiedy wyliczania szczegółów częstokroć bez znaczenia i wartości. — Tym sposobem byłby skreślił rzeczywisty wizerunek tego cudownego miejsca.

—— Z téjże drukarni wyszła powieść: *Królestwo Czarta.* Starzec siwy, z włosyma założonemi za uszy, w czarnym płaszczu, który okrywał czerwone suknie, jest ajentem Lucypera; już zrekrutował jedynastu młodzieńców, potrzeba mu dwónastego. Na jaki koniec? Oto, aby utworzyć falangę nieprzyjaciół miłości; niech się ta skompletuje, a panowanie czarta ustali się na ziemi. Dwunasty młodzieniec zgrany przez starca w karty (nic dziwnego, djabeł dobrze umie układać lisa), stawia pamiątkę od kochanki na kartę — i przegrywa — a zatém nic mu niepozostaje jak dopełnić liczbę dwónastu. Starzec się cieszy — ale gdy młodzian za rok na miejsce schadzki przybywa, odżyła w nim miłość, krzyczy też: Jest miłość! jest Bóg! jest niebo! — Starzec zły wije się jak źmija i krzyczy: „Przekleństwo rodowi ludzkiemu! dla ich głupoty niemoże zstąpić czart na tę ziemię; lecz jeszcze nietracę nadziei, ja muszę znaleść dwónastego, choćby w ostatnie dni świata tego!“ — Możeby sam przedmiot był niezły, ale w powiastce téj pisanéj lichym stylem, przeprowadzony jest niedołężnie; figury i charaktery źle narysowane; całą tę powiastkę nawet za słaby szkic do powieści uważać niemożna.

Lwów. *Pamiętnik Literacki Lwowski podaje takie wiadomości literackie:* Życie literackie ciągle u nas słabe, z większych dzieł, prócz wydanego niedawno poematu „Wojna chocimska“ i będącego na ukończeniu dzieła A. Bielowskiego „Wstęp krytyczny do dziejów Polski,“ które już kilka pism czasowych zapowiadało, nic się ważniejszego nie drukuje we Lwowie. Drukarnie i litografie lwowskie prawie nieczynne; obecnie zajęte ledwie drukowaniem kalendarzów na rok 1851. Między temi prócz Pillerowskiego i Winiarza, pojawi się w roku bieżącym kalendarz W. Smagłowskiego, zalecający się lepszym układem i treściwością. Kalendarz ten nabyło od autora Towarzystwo gospodarskie, które odtąd co rok chce wydawać kalendarz gospodarski. — Pisma czasowe jak we wszystkich krajach polskich i u nas z trudnością się utrzymują, a to tak dalece, że nawet urzędowa Gazeta lwowska w fejletonie swoim użalała się niejako na brak czytelników dla pism literackich. Toż i pisma czasowe poznańskie poniosły wielką klęskę przez odmówienie im od poczty przesełki; ale zadziwia okoliczność, że jedyne pozostałe pismo „Przegląd Poznański,“ które poczta pruska rozséła, zamiast zastąpić silniejszém działaniem ubytek pism w Poznańskiém, zapowiada w ostatnim zeszycie czerwcowym, iż na drugie półrocze nie wyjdzie 6, ale tylko 4 zeszyty. — Z Warszawy dochodzą nas też smutne wiadomości o grożącym „Bibliotece Warszawskiéj“ upadku. Chociaż „Biblioteka“ dla swojej drogości bardzo mało jest u nas upowszechniona; wielka szkoda wyniknęłaby z ustaniem tego pisma dla literatów, którzy z tego tylko pisma dowiadują się dziś o życiu literackiém Warszawy.

—— W drukarni Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich, wyszła z pod prassy broszurka pod napisem: „Uwagi gospodarskie,“ przez Michała Wiesiołowskiego.

—— Stanisław Pilat przygotował do druku ważne, a osobliwie dla szkół pożyteczne dzieło: „O stylu, wymowie i poezyi polskiéj“ ze względu na inne języki tak starożytne jak i żyjące. Dzieło to ma wyjść nakładem księgarni Jana Milikowskiego.

Warszawa. Ner Bibl. Warsz. na sierpień zawiera następujące artykuły: Ułamek z podróży archeologicznéj po Galicyi, odbytéj w r. 1849, przez Józefa Łepkowskiego i Józefa Jerzmanowskiego. Kościół ś. Andrzeja i Kanoniczki w Warszawie, przez Juliana Bartoszewicza (dokończenie). Toussaint Louverture. Dramat Lamartina. Emeryt. Powieść, przez Józefa Korzeniowskiego (ciąg dalszy). Poezye. Smutno mi, Boże! — przez Henryka Cieszkowskiego. Dziwne dziewczę, przez F. F. Kronika literacka. Gramatyka języka polskiego, przez Dobromysła Łazowskiego. Kraków 1848. Przez T. Sierocińskiego. Rozmaitości. Stan piśmiennictwa rosyjskiego w r. 1849. Przez F. M. Sobieszczańskiego. — Odpowiedź na wzmiankę pana J. S. o marszu na cześć Szopena, przez E. Jenike. Kronika zagraniczna. Dziennik ekonomistów z r. 1848. Przez W. Ł. (dokończenie). Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych: astronomia i fizyka kuli ziemskiéj, przez S. P. Kronika bibliograficzna.

W numerze tym artykuł interesujący nowością postrzeżeń i odkryć, jest ułamek z podróży archeologicznéj odbytéj po podgórzu karpackiém. — Więcéj tylko podobnych ścisłych opisów z rozmaitych stron Polski, a będziemy mieli dokładną jeografię naszego kraju, i pierwsze podstawy do archeologii.

—— Oddawna z upragnieniem oczekiwanego dzieła pod tytułem: „Słownik Malarzów polskich tudzież obcych w Polsce osiadłych lub czasowo w niéj przebywających“, przez Edwarda Rastawieckiego, z dołączeniem szesnastu rycin, wizérunków celniejszych artystów, wyszedł z druku tom 1szy, który po cenie rubli. sr. 4 nabyć można w głównym Składzie tegoż, w Księgarni Klukowskiego przy ulicy Miodowéj. Dzieło to oprócz wewnętrznéj treści, a wysokiéj naukowéj wartości, nadto odznacza pyszne i nader ozdobne wydanie, co wszystko najlepsze u światéj publiczności przyjęcie mu wróży.

Petersburg. Nakładem B. M. Wolfa wyjdą w pierwszych dniach Grudnia: *Henryka Hrabi Rzewuskiego*, siedm tomów, ozdobionych portretem autora. Tom 1szy i 2gi zawierać będą: *Wędrówki umysłowe;* tom 3ci i 4ty *Teofrast polski;* tom 5ty, 6ty i 7my: *Adam Śmigielski*, starosta gnieźnieński, romans historyczny.

Czcionkami drukarni Czasu.